

# SPRAWY OTWARTE

WILNO

20  
GR.

DWUTYGODNIK • KULTURALNO • SPOŁECZNY •

Nr. 17

15—31 PAŹDZIERNIK 1937 r.

Rok I

FERDYNAND RUSZCZYC

## O PIĘKNIE POWSZECHNEM <sup>\*)</sup>

(FRAGMENT)

Z lat studenckich wspominam nieraz pewną rozmowę, jaką miałem z jednym z kolegów moich. Był to człowiek ideowy, czysty, chęci i postanowień najlepszych, tylko pod wpływem naleciałości wschodnich łatwo ulegający doktrynom. Pamiętam z nich dyskusję na temat «czy sztuka jest potrzebna». Twierdził, że wobec ogromu nędzy, jaki jest na świecie, wobec najpierwszych potrzeb niezaspokojonych, nie wolno tracić «potrzeb», piękna». Bronił się jak mogłem. Dotykał tego, co było mi najistotniejszym. Pamiętam, że wskazywałem mu na Naturę, gdzie wszystko istnieje, funkcjonuje jednocześnie, nieustannie wskazywałem na organizm człowieka, gdzie wszystkie części składowe również zasilane są i działają równomiernie. Pamiętam, że każdy z nas pozostał przy zdaniu swoim. Rozmowa taka była jeszcze możliwa w latach 90-tych. Przypuszczam, że gdybym się z kolegą tym widział później, byłby mnie spotkał z innym zdaniem. Niechybnie musiał poznać i zrozumieć, czym jest sztuka, co dla człowieka stanowi piękno.

A jak sztuka, piękno nierozłączone są z życiem, z potrzebami człowieka, dowodem tego fakt, że o pięknie mówi się właśnie dziś, w czasie największej nędzy, po wstrząśnieniu najgłębszym, jakiego doznał świat, wśród ruin po światowej wojnie. Bo o czymże marzyli ludzie w przeciągu tych lat udręczeń? O czym marzyli żołnierze wszystkich stref i na wszystkich frontach? Na posterunkach, w obozach, narażeni każdej chwili na śmiertelne syknięcie celnicy lub błędnej kuli, stali wpatrzni w nocne gwiazdy i marzyli o rodzinie lub o swoim zakątku, o tem, co było dla każdego jakby zaciszem piękna. Nie o odbudowie zniszczonego warsztatu marzyła większość — znużeni, marzyli o tem, czego się nie cenilo u siebie, co było takie same przez się rozumiało, a co tu wśród okropieństw szarpania wydało się czemś nieprawdopodobnym, marzeniem nierealnym.

I dzisiaj też, wyczerpani wśród zwiększonych trosk dnia powszedniego i w trudzie odbudowywania, szukamy zaspokojenia dalekich od głodu fizycznego potrzeb, garniemy się, schodzimy pod hasłem — Piękna.

\*) (Wykład wygłoszony w Auli Śniadeckich w dniu 7 grudnia 1919 roku).

(Z cyklu Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich).

Z książki „Liść wawrzynu i płatek róży“ wydanie pośmiertne Wilno 1937.

Dlaczego tak jest? *Bo jest coś, o czym świat był zapomniał.* Coś, co było w życiu tępienie, a co się zemściło, i gdy w wyniku wszystkich anomalij i kaleczeń ducha wybuchła wojna światowa, tamto, nieważkie, a wieczne i niezniszczalne — zażądało przynależnego sobie miejsca.

Ludzkość była utraciła *pewien ton*, który był własnością wszystkich w czasach, gdy duch ludzki wznosił się na wyżyny i ogar-

pokoleń. Co pozostało z kultur lat tysięcy, z przebogatego i potężnego Egiptu? W piasku zamulone szczątki dawnej sztuki, ale z nich jak z lśniących barwnych klejnotów bije cała potęga ducha — ówczesnego piękna. Co z życia swego u schyłku wspominają ludzie? *Kilka chwil, o których mówią, że były piękne.* Tylko to.

A gdybyśmy mieli komuś — jakiejś istocie żyjącej z innej planety — opowie-

To też ludzie, posłuszni jakiemuś nakazowi wewnętrznemu, gonia jak w gorączce po powierzchni tej naszej kuli ziemskiej w poszukiwaniu czegoś, co się im wydaje niezbędnym dla życia, a co jest prawdziwym lub tylko domniemanym pięknem.

A więc istnieje potrzeba piękna. Jakże ten głód zaspokoić? Czemu, skąd? Gdzie jest to piękno? Wszędzie. Ludzie szukają go, jakby ono za jakimś murem. *Przystawiają drabinę rozumu, by się przez ten mur przedostać, a tymczasem brama na roścież otwarta.* A czemuż ono jest? Piękno nazywamy to, co w doskonałości swej zgodne jest z istniejącem w nas i w naturze prawem harmonji. Gdy w południe z gór patrzymy na rozciągający się krajobraz, skąpany w świetle, gdy nad morzem widzimy słońce zachodzące, gdy wchodzimy w noc księżecową — szepcemy mówimy do siebie «jako to piękne!» Gdy podziwiamy dzieło artysty — symfonję muzyczną lub kompozycję w kamieniu, malowidło lub strofy sonetu, ujmujemy nasz zachwyt w to jedno słowo: piękno. I gdy słyszymy o bohater-skim czynie, nie myślimy okrzyści, o skutkach zbawiennych tego poświęcenia. *Pierwszem słowem, jakie zrywa się i pada, jak liść wawrzynu lub jak płatek róży, jest znowu ten jeden wyraz. Widzimy w czynie tym — piękno.* I nie może być dotkliwszego zarzutu, jak gdy się komuś wyzna, że postąpił niepięknie.

Szukamy więc i znajdujemy piękno w naturze i w tem, co najwyższego stworzyć może człowiek, w jego arcydziele w jego czynie. Jest więc piękno poza nami, i w nas: piękno zewnętrzne, dostępne naszym zmysłem i piękno wewnętrzne — moralne.

Lecz gdy mówimy dziś o pięknie, o pięknie powszechnem, nie ma to być traktatem filozoficznym. Nie chcemy drzew mierzyć, obdzierać pni lasu, w którym żyjemy, którego żywicznym powietrzem oddychamy. Chcemy mówić o tym lesie i wszystkich namawiać, by w lasu tego kojącą i głęboką ciszę się zanurzali, by język gajów tych, szmery i pienia jego ptaków poznali lub przysłuchali się powadze jego milczenia.

Nie o estetyzowanie nam chodzi, nie o to, by się lubowano w teoretycznych rozstrząsaniach i rozprawach. *To byłoby tak jakgdyby ktoś, mając morze przed sobą i chcąc je poznać, zadowolnił się miejscem w wydmach piaszczystych.*

(Dokończenie na str. 2-iej).



Fot. J. Bułhak

Ferdynand Ruszczyca

niał całokształt życia — w Grecji starożytnej, a potem we Włoszech czasów Odrodzenia.

Donośniejszym od głosu monstualnych maszyn śmierci okazał się głos gwałczonej duszy ludzkiej, lekceważonej i oskarżanej o dziwactwo. Wraca do praw swoich nigdy nieprzedawnionych. To, co — jedyne — z pochodzenia wieków pozostaje po zmaganiach

dzieć o swojej, co byśmy jej opowiedzieli? Czy o ilości hektolitrów wody w oceanach, czy w metrach o przestrzeni mórz lub w miliardach centarów o wadze gór Himalajów? Nie. — Opowiedzieliśmy o kilku punktach tej ziemi naszej. O tem, co się nam wydaje osobliwością a co jest drobnym pyłkiem w porównaniu do obszarów, o którychbyśmy zamilczeli.

Nie chcemy «schögeistów», nie chcemy ludzi, wpatrzonych w polerowane lustro, odbijające tylko własną twarz. Nam chodzi o co innego. O nawiązanie stosunku pomiędzy człowiekiem, a tem, co go otacza by w nim odbił się świat Boży i by człowiek, zrozumiał jego całokształt. *Chodzi nam o to, by człowiek nie był samotnym, by nie staczał się, nie pędził przez życie, jak oderwany od niebotycznej skały drobny kamyczek.*

A czy to jest potrzebne?

Potrzebne — skoro widok piękna w naturze lub wycucie jego w dziele sztuki wzbudza w nas jedno przedewszystkiem uczucie: — wdzięczność. A *poczucie się do wdzięczności jest najlepszym probierzem wewnętrznego wzbogacenia naszego.* I jeżeli, sumując życie, wspominamy pożegnalnie to, co było piękne, to ostatniem naszym życzeniem jest, by móc raz jeszcze komuś podziękować. Musimy zdać sobie sprawę, że *życie jest naczyniem, którem człowiek czerpie i które do ust niesie, że to jest życie dane nam raz tylko, że tylko przez ten krótki okres widzimy i poznajemy.* Zrozumiejmy, że na drogę, którą idziemy, nie wrócimy już nigdy, że ją przejdziemy tylko raz bezpowrotnie. *I pomyślmy o tem, ile piękna ginie marnie, niepostrzeżenie, ile przemija koło nas dlatego, żeśmy nie nastawieni, że nie wberamy go w siebie.*

Wówczas — gdy to rozumiemy, oglądać się i przyglądać będziemy. «Bo cały świat, — jak mówił Staff — to jedna cudowna przygoda». Lecz by do tego okrzyku dojść, trzeba krwawo przedzierać się przez krzewy kolczaste i chwasty.

A może tylko dla wybranych istnieje ten świat piękna, może dla artystów tylko.

Tak jak modlitwa nie jest wyłącznym przywilejem kapłanów, a poczucie sprawiedliwości — sędziów, tak też piękno jest dobrem powszechnem.

## ZNIENAC JA

### Przekraczam granicę

(ostrzeżenie — żyjącym)

*Czynem przedłuża się własne życie — w wieczność, nie gestykulacją i oratorstwem. Aktor — jest dobry na scenie, re'or — na mównicy, w życiu — jest potrzebny człowiek czyniący. Fanatyk czynu. W jakim — stopniu dziś trudniej, niż w starożytnej Grecji — byłoby Diogenesowi — nawet z latarką elektryczną — znaleźć człowieka?*

*A Kartezjusz — nie poznałby bąsła własnego: „myślę — więc jestem”, bo je zbrutalizowano, odpoetyzowano w zawołanie: „jem — więc jestem”.*

*Coraz trudniej o człowieka, coraz łatwiej — o życie ułatwione. Umierają — fanatycy czynu, nie rodzą się — czyny. Dlatego czerpiemy wiarę z umarłych, a nie wierzymy — w żyjących. Potomkami olbrzymów — są karty.*

*Karty, istoty zaganiane za doczesnością, bez szerszego oddechu, zamknięte w ścianach — „wczoraj” i „dziś”, nie znające zjawiska tęczy, i nie rozumiejące słowa — bezinteresowność.*

*Dlatego trzeba pamiętać — o odchodzących w wieczność, dlatego trzeba o odeszłych przypominać — żyjącym.*

*Bo jak inaczej nauczyć wielkości?*

*Powiecie — dziwne: wierzyć w umarłych, a żyjących nie dostrzegać.*

*A czyż nie jest dziwniejsze: w nic nie wierzyć.*

*Nie to jest jednak najważniejsze; najważniejsze to: jak przedłużyć własne życie w wieczność, w nieśmiertelność? — Nieodgadniona nieśmiertelność, którą wkleamy — własnymi domysłami — nie pozwala się zmierzyć ani zważyć.*

*A kiedy chcesz ją plastycznie — przed własne oblicze postawić, słowo czyn coraz częściej uczysz wymawiać.*

*Ale i wtedy jeszcze nieśmiertelności nie pojmisz, aż czyn dłońmi pracowitymi — wypiętrzączacznie.*

*Krzykiem — piramid nikt nie zburzy, bo piramid — nie wznoszono krzykiem.*

*Zrozumiejmy jedno: człowiek umarły, zasłużony — żyje, człowiek żyjący — nie twórczy — umiera.*

*Jesteśmy na pograniczu życia i śmierci — wybierzmy sami: nieśmiertelność albo nic.*

WINTYMA.

## Józef Wierzyński

# „ZIEMIA... ZIEMIA!”

Peśmiertna wystawa obrazów Ruszczyca w Wilnie!... Z całej Polski zjadą do nas potężne jego dzieła. Przyjedzie więc i «Ziemia» (nie żadna «Orka», lecz «Ziemia», gdyż tak właśnie nazwał ją autor). Już lat kilkanaście chyba upłynęło od czasu naszego ostatniego widzenia się. Przypominam sobie, jakby to dopiero wczoraj było, to nasze pierwsze spotkanie, a przecie było to dawno, bardzo już dawno, bo przed czterdziestu zgorą laty! Pierwsza wystawa obrazów Ruszczyca w Warszawie, na której «Ziemia» właśnie zdobyła mu imię, jak się mówi, «wstępny bojem». O innych jego obrazach wspominała krytyka nawiasem tylko, lub ryczałtowo, natomiast na szpaltach wszystkich pism warszawskich panowała «Ziemia». Krytyka była mile zdziwiona, lecz i zaskoczona jednocześnie, czego zresztą nie skrywała wcale. Skąd się wziął mistrz tak skończony, gdzie rósł, gdzie stawał się takim, jakim tu, z podniesioną przyłbicą, odrazu «gotowy» stanął przed nami? W ten mniej więcej sposób brzmiały prawie dytyramby prasy na cześć Ruszczyca z utajonym jakby wyrzutem niedopowiedzianym: «żeśmy o nim nic nie wiedzieli». Słowem, i autor i dzieła jego zostały przyjęte przez krytykę nader przychylnie, żeby nie powiedzieć entuzjastycznie. A publiczność? Jak zwykle, — głośno, — powtarzała mniej lub więcej ściśle sady ze swego Kurjerka, po cichu zaś, lub przed sobą samym... «totaliter aliter»... Oto ilustracja «z prawdziwego zdarzenia», o którym Ruszczyca lubił opowiadać i w ścisłym, i szerszym gronie (naprz. na swojej «Srodzie literackiej» w murach po-bazyjańskich).

Spotkał się wtenczas w Warszawie ze swym «adlerzym» znajomym z Międzyzyczyn, p. S., skończonym snobem, który widząc rosnącą nieomal z dnia na dzień sławę R. i zainteresowanie się «towarzystwa» jego osoba, starał się być z nim widzialnym, uchodzić za ziomka. Pewnego razu powiada: «Wie Pan, Panie Ferdynandzie, świetnie się składa! W powrocie do kraju po dłuższym pobyciu za granicą, bawi tu śliczna Pani X! Nie zna Pan? Ależ Panie drogi, mecenaska sztuki, znawca niepospolity, galerię



Fot. J. Bułhak.

europäische — nawyłot no i bogata, stousunki... Pan rozumie...? Dawał do zrozumienia, że robi R-wi protekcję. — Ten pierwszy epitet «śliczna» zadecydował, że o umówionej godzinie R. był na wystawie z p. S. — Po krótkim oczekiwaniu zohaczyli nasi panowie zbliżając się do Ruszczyca, jakby nikogo nie było, rzeczywiście bardzo ładną i młodą panią w otoczeniu nadszkakujących jej panów i, zanim p. S. zdążył popodejść i przedstawić przybyłej R-ca, z pięknych ustek nadobnej mecenaski i znawczyni galerij europejskich padły wcale nie półgłosem, lecz tak całkiem wyraźnie wypowiedziane słowa: «A to co za świństwo».

poparte szerokim w stronę «Ziemi» gestem Tableau!...

Po krótkim, przerażenia pełnym szepcie p. S., eleganckie towarzystwo przeszło do innych są wystawowych. Tym razem ominęła R. sposobność poznania jeszcze jednej «pięknej pani». «Miałem żal do «Ziemi», że się nie podobała; przez nią i jej rodzeństwo straciłem okazję...» podżartowywał.

Jakże można sobie wytłumaczyć ten niewątpliwie szczerzy okrzyk pięknej pani?



Fot. J. Bułhak

Ferdynand Ruszczyca „Dożynki”

Może to był tylko wyjątek? Owszem, ale szczerości, nieopanowania się. Większość była tegoż zdania, tylko nie miała tego tupetu, była tchórzliwsza, ostrożniejsza. I właściwie, nic dziwnego. Szersza publiczność, ta chodząca do Zachęty niedzielami «po sumie», a przed obiadkiem, nawykła do «lanszafatów» dawniejszą modą malowanych, ładnych, kolorowych, miłych tak w barwach: jak i treści. Bo na «lanszafacie», chociaż to i pejzaż, przecie coś było, coś się działo: wiłtraczek, strumyczek, a to i niedźwiadek przed gankiem dworu (Weysenhoff), obraz coś opowiadał, a człowiek sobie według swego gustu «resztę dopiewał». A tu?! To ma być obraz? Te brudne, prawie mokre bryły gliniaste świe-

i zadumy Juljuszowej («Zimowa bajka» «Przeszłość»), to jednak dzięki zrozumieniu krytyki i istotnych znawców malarstwa, zdobył sławę już tu na ziemi i to, jak powiedziałem, przez «Ziemię» odrazu, wstępny bojem. Popularnym natomiast stał się dzięki swej sztuce stosowanej i cenionej.

— «Ziemia» zaraz na tej pierwszej jego wystawie, została zakupiona przez Zarząd T-wa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie do jego stałych zbiorów. Następnie została przeznaczona do wylosowania pomiędzy członków T-wa, jako premium. Podobno, szczęśliwy wybraniec losu przyszedł po swoją wygraną z serwetą do jej zawinięcia i był mocno zdumiony (a może i niezadowolony), że musi wykosztować się na dorozkę!... — Po kilku latach zobaczyłem «Ziemię» ponownie, w czyjem innym już posiadaniu. Wisiała dobrze sama na całej poprzecznej ścianie długiego salonu (był więc «dystans uwielbienia» wymagany przez Bułhaka), światło boczne... pomimo to wyglądała jakoś nieswojo, jakoś dziwnie, jakby Czepiec w kierezji i z kosą na sali balowej wśród fraków... Za potężną, za wielką nie wymiarami, lecz tą żywiołową mocą swoją, skrytą w sobie potęgą całej ziemi polskiej, z duszy twórcy w płótno zakłętej!... Nie, to obraz nie do salonu!

Pan B. nie tylko znał się na malarstwie, ale i kochał to co nabywał. Miałem trochę trudności z wydobyciem obrazu od niego na wystawę «Hagebundu» Wiedeńskiego czy też «Sztuki» Krakowskiej, którą Ruszczyca urządził w Wiedniu. «Panie», mówił błagalnie niemal, «przecież to rozstanie na kilka miesięcy! Doprawdy nie wiem... Niech się oswoję trochę z tą myślą. Ja zatelefonuję, dobrze?» — «Proszę Pana już nie w imieniu Ruszczyca, nawet nie dla dobra Wystawy, — proszę w imię SZTUKI polskiej!» — «Tak, ja rozumiem, Pan ma rację, ale to tak nagle, a przecie — to mój po pracy wypoczynek, to źródło siły, to do wytrwania zachęta... ja jutro Pana zawiadomię...» W tydzień po tym, pisał mi Ruszczyca, że «Ziemia» dojechała szczęśliwie. Po półroku mniej więcej wróciła na swoją białą ścianę.

Dziś jest własnością Państwowego Banku Rolnego w Warszawie. Przyjedzie do Wilna, po tylu latach zobaczą ją znowu... swoją i Jego młodość, mam jakby treme, czekam z niepokojem, jak na spotkanie z drogą, bardzo drogą osobą...

Bohdanów. Tu powstała „Ziemia”.

zo zaoranych zagonów mają być «lanszafatem», mają być upiększeniem mego mieszkania! Też, było co malować! Nie widział kto zaoranego kawałka gruntu, albo chmur, i to jakich! Jakieś pokudłate, poszarpane, zdaje się, że lada chwila zwała się na tego ledwie widzialnego wołu i rataja, wielkości muchy! Co tu ładnego? A i sposób malowania! Farby, prawda nie żałuje, sady ją całymi plastrami, omal że nie opada. Chyba że to może jeszcze nie skończone malowidło? Dość przecie widziałem obrazów, wiem jakim powinien być obraz... Takie mniej więcej były te ukryte, w zaufaniu tylko wypowiedziane myśli, przeciętnej, rozrywkowo traktującej sztukę publiczności,

Wiktor Trościanko

# Modrzewiowy dwór

Październik w Bohdanowie

W wagonie czytam książkę.

W książce jest świat jeden, za oknem drugi. Odkładam książkę i patrzę przez okno. Pociąg przecina bukiety lasów — jesienne, czerwono-żółte astry; na łąkach, powleczonej siatką srebrnych włosów, stoją pojedyncze drzewa, jak stogi złotego siana. W długich zagonach razowej ziemi worki pełne kartofli, resztę zimowego przysmaku wygrzebują baby «skulone we dwoje». Nieznana kuropatwom gąsienica — pociąg płoszy je z nasypu, spadają pod lasem, jak szare liście.

O takiej porze w książce, którą czytam, lasy, podobne do tych i niezbyt dalekie, roily się od przemytników, których miała rozgrzeszyć wielka niedźwiedzica...

Aleja wjazdowa w Bohdanowie — rząd wysokich brzoź zaczyna się od krzyża lekko pochylonego, przykrytego półkolistym daszkiem. Bohdanów wita przybysza idącym od krzyża pozdrowieniem: niech będzie pochwalony.

Psy na podwórzu, widocznie przywykłe do częstych gości, witają przyjaźnie, nawet t. zw. «zły pies» na łańcuchu merda wesoło ogonem; młody wyżeł opiera mi się łapami o piersi i czeka na pieśczoły. Z czworonożnymi mieszkańcami Bohdanowa nie rozstaje się prawie przez cały czas pobytu. Po przywitaniu się we dworze idę na cmentarz; przed gankiem stoi Finka i zdradza ochotę towarzyszenia mi, mimo łagodnego zakazu władzy. Ruszyłem ręką i mała białoczarno psinka pobiegła za mną.

Na cmentarz prowadzi ze dworu jodłowa aleja, idzie na wzgórze, opadające ku rzece i niedalekiej wsi. Gdy usiadłem walei na ławce zobaczyłem jako horyzont linję tego bliskiego wzgórza, ziemia po skopaniem kartoflanisku była brunatna, nad horyzontem szły bliskie, zdaje się dotykalne, obłoki.

Ziemia... Tak, tutaj malowana. To wzgórze stało się bohaterem słynnego obrazu, którego niesposób opisać słowami, bo robi wrażenie jedyne w życiu, niepoznawalne nawet przez samego siebie.

Rodziny cmentarz Ruszczyków leży na wzgórzu, podobnym z kształtu do tamtego z «Ziemi». «Wszystko jest z ziemi poczęte — wszystko powróci do niej» — dźwięczy mi w uszach wiersz Miłosza.

O nie Miłoszu, nie wszystko, powróci do niej i nie wszystko jest z niej poczęte. Nieśmiertelność (och, cóż za słowo — powiadasz), nie jest z niej poczęta i do niej nie wraca. Wisi nad wzgórzem, jest ponad cmentarzem, w ziemi zostaje tylko to, do czego tak przywykliśmy za życia, a co jest najbardziej zrozumiiałym sentymentalizmem. Ty, Miłoszu, chyba rzadko bywałeś na cmentarzach?

Ferdynand Ruszczyk, ta charakterystyczna i charakteryzująca Wilno postać, leży pod zielonemi sosnami i żółtym kasztanem. «Tam jeszcze niema tablicy — powiedziano mi we dworze — ale pan po-

zna po kwiatach». Po dębowym krzyżu pnie się malwa, aż pod wianek z pozółkłych wileńskich palm, naokoło otaczają grób jesienne astry i róże. Za mogiłą artysty dębowe krzyże znaczą wspólny grób rodziców: Alwiny (ur. 1837 † 1918) i Edwarda (ur. 1830 † 1910). W rodzinie Ruszczyca powtarzają się wciąż, z pokolenia na pokolenie dwa imiona: Ferdynand i Edward.

Był najpiękniejszy dzień jesieni. Lasy kwitły płomieniem października, słońce silniej niż zwykle o tej porze grzało, koło Mołodeczna podobno poraz drugi drzewa pokryły się kwiatem.

Wracam do dworu. Schowany w drzewach stoi duży dom. «To modrzewiowy — proszę pana — ma już trzysta lat» objaśnia syn artysty p. Edward Ruszczyk. Obok drewnianego domu stoi biały piętrowy pałacyk,

w którym mieściła się pracownia artysty, obecnie zaś biblioteka. Od podłogi do sufitu książki. Wiele cennych, starych, oprawnych w skórę i pergamin tomów z XVI i XVII-go wieku. Jako amator książek z rozkoszą oglądam rzadkie okazy, jak np. zbiór konstytucyj sejmowych, wydany w roku 1637. W archiwum pełno książek ilustrowanych przez Ruszczyca, wydawnictw, czasopism i afiszów.

Bibliotekę w ostatnich latach choroby uporządkował sam Ruszczyk. Mimo częściowego bezwładu dużo pracował, jeździł w okolicę, oprowadzał przyjezdnych z Wilna kolegów profesorów. Nauczył się zastępować rękę prawą, lewą. Malował nią, rysował i pisał.

W dużym pokoju stołowym, przedzielonym białymi kolumnami z drzewa, zasiada do stołu rodzina, domownicy.

lewa ręka, gdy prawa jest bezwładna... To ostatni malarski uśmiech Ruszczyca, malarzki — bo sam pogodny był do końca życia.

W pokoju wszystko tak, jak za życia niezmiennione, jak niezmienniona ziemia na wzgórze. Na łóżku zamiast poduszki znów palmy wileńskie, symbol miasta, które artysta tak gorąco kochał.

W salonie rzeźba Dunikowskiego, portret ojca Ruszczyca, stare meble i obrazy. Wśród nich pierwszy rysunek Ferdynanda Ruszczyca, wnętrze mieszkania w Mińsku, zrobione przez 15-letniego chłopca z zapowiedzią przyszłego talentu. W rodzinie Ruszczyków zamiłowania i talent malarski okazały się, już dawno, zwłaszcza w linii żeńskiej. Na ścianie wiszą stare rysunki i głowa Chrystusa misternie wyszyta przez prababkę — Dunkę z pochodzenia.

W dużym parku wysokie, stare drzewa, na jednym z nich obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. I znów te gałęzie, drzewa dziwnie powyginane — przyciągające do siebie niereczywistością. Pod nogami szeleszczą liście.

— Przypomina mi się Noc Listopada — mówi syn artysty.

— A mnie znów wiersze Miłosza — pomyślałem.

Zbliża się godzina wyjazdu. Rozmawiamy przed gankiem o książkach. — Czytamy teraz Piaseckiego Niedźwiedzicę — mówi p. Edward.

— O widzi pan — niedźwiedzica jest tam.

Nad nami wisi październikowy wieczór z gwiazdozbiorem wielkiego wozu.

— A — jak pan myśli, czy to jest twórczość? — pytam.

— Chyba...

W myśli usilnie staram się zdefiniować twórczość, sztukę. Mam takie kracicowe elementy definicji. Z jednej strony Ruszczyk, z drugiej... Sergjusz Piasecki. Jak połączyć, jednego i drugiego pod nazwą twórcy? Czy to nie jest bluźnierstwo, lub herezja?

Odprowadzają mnie kawałek na bryczce syn Ruszczyca ze swym przyjacielem. Noc jest chłodna, ale pójdą na kozła. Za zakrętem niknie światło modrzewiowego dworu, mijamy aleję brzożową, pochylony krzyż. We wsi żegnam się z odprowadzającymi.

— Szczęśliwych łowów.

— Szczęśliwej podróży.

Stangret opowiada mi o zmarłym panu, jaki był dobry «niehonorny», jak jego wszyscy lubili we wsi.

Nadjeżdża pociąg, patrzę w ciemność. Stąd nie widać krzyża, ni alei. Ale wiem, że w tamtym kierunku leży modrzewiowy dwór i wzgórze — ziemia Ferdynanda Ruszczyca.

Wiktor Trościanko



Fot. J. Bułhak

Dwór w Bohdanowie

Pani Ruszczykowa musi wiele uwagi poświęcać najmłodszemu synkowi, który w zapale krasomówczym zapomina o zupie.

— A ja wam mówię, że nic nie upolujecie, powiada 11-letni Ferdynand do starszego brata i jego przyjaciela. Nic z tego kozła nie będzie, zmarzniecie tylko w nocy. O, jabym napewno, upolował...

— Z flowerem...

— A z flowerem! Z dubeltówką nie chce, bo bardzo bije...

— Jedz teraz zupę.

Większość obrazów, już spakowanych, odesłano do Wilna na wystawę. Pani Ruszczykowa pokazuje mi jeden dawny: ojciec artysty na katafalku. Niema tu nic z właściwej czarnej żałoby. Fragment głowy, świeca, kwiaty i tło. Wzrok przyciąga jakiś niezwykły spokój, ciepło — głęboki i chrześcijański pogląd artysty na śmierć. I ten obraz będzie na wystawie. Obiecałem sobie długo przed

nim posiedzieć. A potem drzewa. Duże płótno, przedstawiające sad na wiosnę. Zawsze na obrazach Ruszczyca uderzały uwagę moja drzewa. Jakieś dziwne, powyginane gałęzie, jakby z fantazji, a przecież rzeczywiste. Wyglądam przez okno — ależ tak! Mam wytłumaczenie obrazów. Z okna pokoju artysty widać duże drzewo. Część liści już opadła, na niebie rysują się takie same, przedziwne gałęzie, wygięte w kształty gotyckich gestów, ornamentów.

— Ten obraz mąż malował lewą ręką. Dużo zieleni, sad, na drzewach kwiaty — wiosna. Trudno jest malować wiosnę —



Fot. J. Bułhak

Dożynki w Bohdanowie — 1935 r.



Fot. J. Bułhak

Ferdynand Ruszczyk w Bohdanowie

Jan Bułhak

## R U S Z C Z Y C

W lutym 1911 roku pojechałem do Wilna. Trafiłem na czas, kiedy wydawanie «Tygodnika Wileńskiego» odbywało się z całym rozpędem.

«Tygodnik Wileński» w owym czasie orjentował Ruszczyca w stronę Mińska, ponieważ projektowana tam wystawa sztuki przybierała coraz realniejsze zarysy, a w związku z nią musiał wyjść numer, poświęcony temu «mojemu» miastu. Było ono co prawda moje tylko geograficznie, jako że Peresieka, leżała o trzy mile od Mińska. Ale po za tem nie miałem do niego serca i czułem się daleko bardziej wilnianinem. Urodzony w Nowogródku, Mińsk poznałem dopiero jako człowiek dorosły, więc nie miałem z nim żadnych wzrostów uczuciowych z dzieciństwa, a jego zdziżały, rosyjsko-żydowski wygląd i wybitne odpolnienie nie mogły mnie usposobić do niego przychylnie. Nawet w wartościach zasobnego Wilna niebardzo jeszcze umiałem się rozoznawać, więc tem mniej mogłem się interesować ubogim, bezstylowym Mińskiem i traktowałem go wyłącznie, jako dom zajezdny, przykry, ale nieunikniony w tych krótkich chwilach, których nie spędzałem u siebie na wsi. A będąc zakutym wieśniakiem, nie rozumiałem życia po za przyrodą, lekceważyłem każde miasto i uważałem je za więzienie. Ale z Ruszczycem było inaczej: jego lata dziecinne i szkolne wiązały go z Mińskiem mocno, gdyż jego ojciec był wyższym urzędnikiem na kolei Libawskiej i długo przemieszkiwał wraz z rodziną w Mińsku — stąd sentyment dla rodzinnego miasta i konieczność poświęcenia jemu numeru Tygodnika jeszcze przed wystawą. A na wystawę Ruszczyca miał sam przyjechać do Mińska, a ja zaś miałem mu dostarczyć fotografie i zająć się sporządzeniem nowych zdjęć z wystawy do zeszytu następnego.

Wróciłem z Wilna bardzo przejęty zadaniem, jakie na mnie włożył Ruszczyca, a zarazem niotany niepewnością, czy moja praca będzie na poziomie wymagań tak poważnej imprezy. Nie przeczuwałem jeszcze, że stosunek nasz ułoży się na stałe w ten sposób, że on mi będzie wciąż przerażał przecenianiem moich możliwości, że będzie mi wciąż «dawał role» coraz nowsze i trudniejsze, i budził we mnie ambicję, by sprostać każdej. Później dopiero zrozumiałem, jak bliski mi jest ten człowiek, ale już wtedy czułem, że niczyjego sądu nie obawiam się tak strasznie, jak jego, że niczyje zdanie nie przejmuję mi taką treścią, jak zdanie dobrego i wyrozumiałego Ruszczyca. Odczuwałem instynktownie, że pomimo najlepszego serca, musi on być w sprawach rzetelności artystycznej surowym i nieubłagany, inaczej nie byłby tym, z kim liczyło się całe Wilno. Więc wydobywałem fotografie z tek, wykańczałem śpiesznie, co się dało, przebieierałem je na różne sposoby, ale wątplenia nie opuszczały mnie i mocno męczyły. Dywersję wywołała obłożna choroba, która przetrzymała mnie w łóżku przez parę tygodni i na inne tory zwróciła myśli. Nie zdążyłem jeszcze zupełnie wyzdrowieć, gdy nadeszła wigilia wystawy, dzień 11 marca, i musiałem jechać do Mińska w całkiem żalonym stanie fizycznym i duchowym.

Tam zastałem już Ruszczyca, zajętego ostatnimi przygotowaniem wraz z rzeźbiarzem Jarosławem Tyszyńskim. Ta pierwsza za mojej pamięci wystawa sztuk pięknych w Mińsku mieściła się w salach «Ogniska», polskiego klubu towarzysko-kulturalnego. Przewodniczącym zarządu był Hieronim ks. Drucki-Lubecki, człowiek światły i literacko uzdolniony. Cały zarząd gorliwie popierał

inicjatywę Ruszczyca, a polska «kolonia» mińska żywo interesowała się takim niebywałym przedsięwzięciem. Rzeźbiarz Tyszyński z kilku innymi osobami stanowili miejscowy wydział wykonawczy i czynnie pomagali Ruszczycowi w niełatwym przy ówczesnych warunkach zadaniu. Tyszyński miał bardzo oryginalną powierzchowność, duże bladoniebieskie oczy i wydłużone, przesubtelnione rysy, ale nosił się nieco teatralnie, w aksamitnym ubraniu, z długimi włosami i z kokardą zamiast krawata, co mu nadawało oryginalny, ale trochę zniechęcający wygląd. Różnił się tem wyraźnie od Ruszczyca, który unikał wszelkiej afektacji i wolał być artystą w duszy, niż w ubraniu. Ale mnie wówczas charakterystyka Tyszyńskiego jeszcze imponowała. Obok Tyszyńskiego brali udział w organizacji wystawy mińszczanie Józef Iwaszkiewicz, Oton Krasnopolski i Bogusław Adamowicz.



Rys. F. Ruszczyca

Trafiwszy do tego towarzystwa poczułem się dobrze i swobodnie w atmosferze przedednia wernisażu, gdy trzeba doprowadzić do końca wszystko, co się odkładało na ostatnią chwilę, gdy się stacza walki o młotek i gwoździe, segreguje i przymierzają do ścian obrazy i robotę przepłata gęsto pogaduszkami i dowcipami. W salach wisiały już dzieła matadorów, jak Stanisławski, Wyczółkowski, Pruszkowski, Witkiewicz, Weysenhof, w komplecie stawili się malarze wileńscy, ustawiano rzeźby Dunińskiego, Wittiga, Madeyskiego i innych. Ale ja widziałem tylko jeden obraz i nie mogłem oderwać od niego oczu. To było Ruszczycowskie «Nec mergitur». Stało pośrodku sali w dobrem świetle i stanowiło niewątpliwie okrasę całej wystawy. Obraz ten zdumiewał swą nadzwyczajną barwnością już zdaleka, zanim się zdążyło rozpoznać, co przedstawia, a gdy się doń zbliżyło, przykuwał uwagę niepodzielnie. Przeżyłem z nim chwile niezapomniane. Był to pierwszy obraz Ruszczyca, jaki w ogóle widziałem w oryginale. I ten obraz przychodził sam do mego głuchego zaścianka mińskiego, by mnie budzić z odrętwienia i wolać do życia!

Byłem nie zupełnie przytomny. Tylko odruchowo uczestniczyłem w ogólnym pracowitym rwetesie, robiłem jak przez sen to i owo, niekiedy nawet pod wskazówkami Ruszczyca, który przy robocie zupełnie się odmieniał: stawał się milczący, skoncentro-

wany, patrzący baczenie nasrożonym wzrokiem; wszędzie był, wszystkiego sam dojrzał, pracując bez pośpiechu, ale i bez przerwy, z planowością urodzonego organizatora. Oczy jego widziały zawczasu pomyślaną całość, a myśl łączyła manifestację artystyczną z pionierstwem kultury polskiej na tej wschodniej rubieży, zapomnianej od Boga i ludzi, więc był skupiony w sobie i oddzielony od zewnętrzności jakąś nieprzenikliwą ścianą zadumy. Zresztą krył się z tem starannie i co chwila czynił wysiłek, by na powitanie przychodzących ukazywać twarz, rozjaśnioną uprzejmym uśmiechem.

Nie chcąc mu przeszkadzać, zająłem się przeglądaniem ścian, na których wśród kolorowych malowideł moje fotografie zdawały mi się nikłe, a mimo to zwracały uwagę i budziły zainteresowanie. Kiedyindziej byłbym uszczęśliwiony wyróżnieniem, jakie je spotykało w tak zaszczytnym towarzystwie, ale w tych warunkach myśli moje były

niących się, jak powódź bajecznych klejnotów. Szła z obrazu potęga, groza, wielkość, tajemniczość, ale górował nade wszystkim szturmujący niebiosą poryw uczucia i wiary. W tym fantastycznym temacie, nie mającym nic wspólnego z jakąś znaną rzeczywistością, było doskonałe zespolenie prawdy uczucia z polotem wyobraźni. Ten niesamowity okręt na nieprawdziwym morzu pod nierealnym niebem był dla mnie prawdą niewątpliwą, oczywistą, jak dzień, jak słońce: czuło się ją wszystkimi władzami duszy.

A po kontemplacji przychodziła nauka, zbawiennie pożyteczna dla naiwnego laika. Od obrazu niewidzialne niemi sympatji prowadziły do autora, i uczyły doszukiwać się w nim jego własnej wizji dzieła, niezależnej od formy ucieleśnienia, domyślać się jego stanów uczuciowych i pobudek wewnętrznych, które wizję wywołały. Zaczynałem pojmować, że obraz — to tylko mała cząstka, znikoma chwila życia artysty, a on sam — to ogromny świat, mieszczący w sobie nieskończoność życia. Stawało się oczywistym, że artysta jest nieprzebrana kopalnią takich urzeczywistnień. Jak ten obraz, ale przed tem musi je przepracować w trudzie duchowym, przeboleć, przeżyć... W podniosłym wtajemniczeniu odsłaniało mi się misterjum twórczości, i święta groza przed powagą życia ogarnęła mię jak płomieniem.

Ale najważniejsze było jeszcze przede mną. Dziwnie bogate we wrażenia, dziwnie bujne i kwieciste były te dni. Po odczycie odbyło się zebranie towarzyskie i kolacja w większym gronie, której szczegóły zatarły mi się zupełnie, gdyż siedziałem daleko od Ruszczyca i byłem zbyt zajęty własnymi myślami. Było już dobrze po północy, gdyśmy wyszli z sali i po pożegnaniu u wyjścia swych kolegów, wziął mię pod ramię i skierował w boczny ulicę. Szliśmy, jakiś czas w milczeniu po ciemnych i pustych arteriach miasta, którego obrzydły kształt dzienny zakrywała dobrotczyna noc. Zauważyłem, że i on jest podniecony i skłonny do poufniejszej rozmowy, która się też niebawem zawiązała. Tematem jej były wrażenia minionego dnia. W obydwóch nas nagromadziły się pewne potencjały odczuwania, które domagały się wyładowania. Coś się rozgrzewało, coś rosło, uskrzydlało, myśli chaotyczne skupiały się i rozwidniały w śmiałe skrót, odpadały pomyslenia zbędne i przypadkowe, a jakaś łaska prawdy jedynej światła zbawczą jasnością. Już nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy i prawdopodobnie nie jeden raz przeszliśmy te same ulice, zanim stanęliśmy u drzwi hotelu, gdzie zamiast pożegnania Ruszczyca wciągnął mię do wnętrza. Tam w jego pokoju prowadziliśmy dalej rozmowę. Myśli były szczere i ważne, słowa lekkie i skrzydlate, głowy gorzały, serca były rytmem zgodnym, wartkim, mocnym... oczy przenikały zapory codzienności i witały cudowne odsłanianie się tajników życia...

O czem mówiliśmy wtedy?... nie potrafię powtórzyć i to jest zresztą obojętne. W godzinach wyrocznych dusza zbliża się w zachwyceniu do niepoznawalnej, najwyższej «Jedności», która jest istotą wszystkiego. A gdy taką chwilę przeżyją razem dwie dusze, to ich zbratanie pozostawia smugę światłości, która nie umiera nigdy, bo jest nie z tego świata.

Ta noc miała za otoczenie brudny ordynaryjny hotelik żydowski, bo innych wówczas nie było w Mińsku. Odrapane sprzęty i plugawe ściany pokoju rozszerzały się naszym oczom w amfiladę wspaniałych sal, a zadymione papierosami powietrze rozblekitniało się w sferę podniebnych światłokręgów. Ruszczyce mówił o sztuce, o kraju, o swych zamierzeniach, których uczestnikiem chciał i mnie widzieć. Dał mi poczuć, że pragnie, bym pracował z nim dla wspólnej sprawy. W słowach zwartych i ogled-

\*) Fragment niniejszy jest zaczerpnięty z książki J. Bułhaka p. t. «Dwadzieścia sześć lat z Ruszczycem», którą autor już ukończył i przygotował do druku.

# W M I Ń S K U\*

nych, ale głosem wzruszonym dawał mi ujrzyć głębie swej płomiennej uczuciowości, swego żarliwego posłannictwa, swego męskiego, czynnie stężonego marzycielstwa. Był prosty i dobry a zarazem wzniosły i godny uwielbienia...

Kiedy nad ranem podał mi rękę na pożegnanie, w ujęciu jej poczułem mocny ucisk brata . . . . .

Nazajutrz trzeba było fotografować wszystko na naszej wystawie, bo zależało na tem i mnie samemu, i musiałem dać obfity materiał Ruszczycowi do Tygodnika. Ten trzeci dzień zeszedł mi cały na robocie, niełatwej ze względu na jej nowość i uciążliwej fizycznie. Jestem przekonany, że w innych okolicznościach byłbym do niczego niezdolny i leżałbym w łóżku. Ale przy takim lekarzu, jak Ruszczyc, czułem się zelektryzowany i w ustawicznym napięciu nerwowym potrafiłem wykonać rzecz niezgorzej. Zeszyt wystawowy, wypełniony memi zdjęciami, stał się moim egzaminem wstępnym, zdany dobrze.

Ale przed tym numerem Ruszczyc słusznie uważał za potrzebne powiedzieć więcej o swem rodzinnym mieście. Treść Tygodnika układał na kilka numerów naprzód w określonej kolejności, budując jakąś z góry uplanowaną całość. Cokolwiek czynił, to było zawsze konstrukcyjne, nigdy ułamkowe, ani przypadkowe. Natchnienie kojarzyło się w nim harmonijnie z dojrzałym rozmysłem. Więc i zeszyt 13 Tygodnika, który otrzymałem wkrótce po opisanych zdarzeniach, został cały poświęcony Mińskowi. Zgromadził skrzętnie ostatki kultury i myśli polski, zalewie rosyjskiego nihilizmu, dawną świetność mia...

...oryg z odłamków sk... i zelastwa odgaduje zaginione dzieje ludzi, którzy się niemi posługiwali, tak Ruszczyc z tych skąpych pozostałości polskiego promieniowania wskrzeszał jego obraz retrospektywny, pełny chlubnych świadectw i krzepiących pouczeń. A czynił to swoją mistrzowską metodą zestawień i lakonicznych komentarzy słownych o miążdzącej wymowie. Jak wytrawny szermierz, tworzący skuteczne wypady i zasłony nieznacznie poruszeniami ręki i szpady, używał minimalnych środków dla osiągnięcia największych efektów. Więc narysował w Tygodniku wytworny rokokowy szczyt dawnego kościoła, przerobionego przez Rosjan na koszary i uwieńczonego nędzną nadbudówką drewnianą w cynicznym stylu «kolejowym» i podpisał: «Dawny kościół Dominikański — dziś «kałancza» \*) rysunek z natury». A obok umieścił fragment kamienicy, frontowej z głównej ulicy, dosłownie opancerzonej paskudnymi żydowskimi sztyldami potwornej wielkości i znów podpisał: «Jedno z upiększeń ulicy Gubernatorskiej, — rysunek z natury». Dla nas komentarze były niepotrzebne, ale najzabawniejsze jest, że Rosjanie z pewnością nie rozumieli ironji tych ilustracji i brali teksty za dobrą monetę. Rysunkom akompanjował artykuł «O k a» pod tytułem «Dwa światy», napisany kutym w granicie stylem Ruszczycowskim:

«Dziwne miasto. . . jedna olbrzymia zmo-  
tra zdziczenia i znieczulenia na wszelkie tradycje i aspiracje. Barbarja. Tryumf napływowego nihilizmu... Na tych architektonicznych straszdyłach maski — sztyldy, cyniczne swą jakby umyślną ohydą... A nad niemi skalpowane szczyty i stropy dawnych świątyń... A jednak... w tem mieście, siedzibie tryumfującego wandalizmu... byli i są ludzie, których... wytrwała praca, wielkie przywiązanie do skarbów zagrożonych wysuwają na czoło społeczeństwa. A ziemia

\*) «Kałancza» — wyraz rosyjski, również szpetny jak jego treść, oznaczająca nadbudówkę wieżową.

ta—to ziemia, od wieków użyźniona kulturą naszą. Nie statystyka urzędowa.. nie nazwa decydują: decyduje pierwiastek etyczny, to, co lepsze. W tem słuszność i przyszłość».

Tak ostrożnie i «międzywierszowo» musiał wówczas wyrażać się pisarz o sprawach drogich i ważnych, najbliższych polskiemu sercu. A przecież to był rok 1911—w sześć lat po pomrukach pierwszej rewolucji rosyjskiej i na trzy lata przed wichrem wielkiej wojny, która miała zmieść to władztwo dzikości.



Fot. J. Bułhak Fyrdynad Ruszczyc „Nac margitur“ (1906—1907)

Potem wyszedł tylko jeden numer Tygodnika Wileńskiego, poświęcony «Wilnu-Warszawie», a więc zjednoczeniu, jakie w minionych wiekach wiązało te dwa «miasta gubernjalne» cesarstwa rosyjskiego. Dostoja i surowa w linjach korona kazimierzowska mieściła na dwóch tarczach herby Wilna i Warszawy, a pod nią imiona tych miast, wypisane romańskimi inicjałami,



Fot. J. Bułhak

Aleja w Bohdanowie

łączyła jedna drobna kreska. W tekście grubego podwójnego zeszytu kreska ta nabrzmiewała do wymiarów wieczystego przymierza Korony i Litwy, a mówiła o niem tylko zestawieniami poglądowymi, ale z tą elokwencją milczącego obiektywizmu, jaka była właściwa takim dwom «buntowszczykom», jak Ruszczyc i Studnicki. Nic też dziwnego, że ten zeszyt był ostatnim debiutem, łabędzim śpiewem Tygodnika. Nawet gruboskórne władze rosyjskie musiały

w końcu przejrzeć jego nieprawomyślność i urzędnik gubernjalny, obwieszczający Ruszczycowi zamknięcie pisma, zdobył się na cyniczny dowcip, że dzieje się to nie z powodu treści, lecz jedynie z powodu tej małej, ledwie widocznej kreseczki. Nie wolno było łączyć nawet kreską z farby drukarskiej dwóch miast, łączących przecież w odrębnych i obcych sobie dzielnicach, nie związanych niczem, oprócz przynależności do wielkiego imperjum rosyjskiego.

Tak zakończył krótki żywot «Tygodnik

w Janusowym posągu z Polską dnia wczorajszego, bolesną ale szczytną.

Karty Tygodnika są mi szczególnie drogie, gdyż odczytuję w nich niemaloważny ułamek życia i pracy Ruszczycy. Udało mi się zachować komplet tego pisma, o czym wspominam w tym celu, by przyszli badacze epoki Ruszczycowskiej Wilna mogli sięgnąć do tego rzadkiego już dziś źródła i opracować je należycie. Jest ono pięknym świadectwem wszechstronności człowieka, który dał dowód, że można być gorącym patriotą, konspiracyjnym politykiem, skrzętnym miłośnikiem dawnego obyczaju, ofiarnym nauczycielem i sługą społeczeństwa, nie przestając być wielkim artystą. Przyszły monografista Ruszczycy niewątpliwie oceni i uwidatni wartość plastyczną jego rysunków i ornamentów zdobniczych, wykonywanych dosłownie na kolanie, w ostatniej nocy przed oddaniem do kliszarni. Rysował je piórem, ołówkiem, patykami, najprostszymi narzędziami, przystosowanymi do techniki drukarskiej, wykonywał pod nakazem chwili, niecierpiącej zwłoki, a jednak w spontanicznym wybuchu natchnienia, które spływało nań odrazu ilekroć poczuł w sercu, że coś narysować «trzeba». Wolny od cienia tendencji w swojej sztuce był przecież mądrym wychowawcą — ale ten prozelityzm rodził się nie ze spekulacji rozsądku, tylko z wrzącej uczuciowości, ujawniał się w formie czystego artysty. Kreska jego rysunku była wstrzemięźliwa, ograniczona do najkonieczniejszej charakterystyki, prosta i mocna, a przecież bogata, żywiołowo wymowna, rozmiłowana w barokowej bujności, niemniej patetyczna, niż jego plama malarska. Nawet w małych płaszczyznach piórkowych nie znać było wysiłku ani zbędnego cyzelerstwa. We westklem widniała dogłębna męska wypowiedź mistrzowskiej ręki, stwarzającej dokładny obraz przeżytej wizji.

Ruszczyc był artystą zupełnym tak samo w kreskowaniu swych drobiazgowych rysunkowych, jak w malowaniu wielkich płócien pejzażowych. Dał niezliczone dowody swego talentu graficznego w zdobionych przez siebie licznych wydawnictwach, a «Tygodnik Wileński» jest jednym ze zwierciadeł, w których odbija się ta jeszcze niedoceniona rola Ruszczycy.

Jan Bułhak

Dobra książka—to najlepszy przyjaciel.

Kupując książkę nie zapomnij sprawdzić czy to jest chrześcijańskie wydawnictwo! Księgarnie polskie służyć mogą wykazem chrześcijańskich firm wydawniczych.



Rys. F. Ruszczyc

Więc dzisiaj nikt prawie nie wie o istnieniu tych szesnastu zeszytów Ruszczycowskiej myśli i troski, Ruszczycowskiego miłującego wspomniania<sup>a</sup> «tego, co było». Ale «w tem że było, moc nasza...» powiedział i wyrzył to w wielu sercach. W dzisiejszej wolnej Polsce nasze radości i smutki są inne, przemoc wroga stała się anachronizmem, ale pozostanie na zawsze Ruszczycowski testament, nakazujący znać i szanować tradycję, a Polskę jutra jednoczyć

Stanisław Janicki

# Trzy pożegnania

Chodzę na inaugurację akademickiego roku pracy, mimo opuszczenia w jakiś szczęśliwy dzień z dyplomem w ręku, murów Starej Almae. Staję na dziedzińcu Piotra Skargi — Wielkiego Rektora Wileńskiej Wszechnicy — i patrzę na idące sztandary, rząd ludzi w togach — z rektorem na czele i tłumy szarej akademickiej.

Patrzę wtedy jeszcze na tablicę Skargi i ważę w myślach, który z tych rektorów, często zmieniających się jest bliższy, a który dalszy Wielkiemu Jezuitcie. Młodzież akademicka może mniej waży, rozmyśla, jest więcej impulsywna: w jej twarzach, gestach, słowach łatwiej i szybciej przychodzi reakcja na widok postaci idących ku wielkości, wykraczających poza przeciętność.

Uśmiech przywiązania towarzyszył osobom «klasycznych» dostojnych rektorów: Parczewskiego, Zdziechowskiego, Falkowskiego i zwanemu «ostatnim rektorem» — Opoczyńskiemu.

Ludzie ci — to bliscy duchem Skardze, wyczuwający znakomicie wielkość nauki. Przyszła smutna walka o autonomję, o utrzymanie nauki poza zwykłą urzędniczą hierarchją.

Pamiętam doskonale jeden fragment tej walki — może najpiękniejszy moment w burzliwych i niezrozumiałych dla laika czasach. Ten moment to pożegnanie na dworcu Rektora Opoczyńskiego, jadącego do Warszawy na historyczną Konferencję rektorów.

Mimo zakazów zebrał się na peronie młody tłum kilkuset osób, by zmanifestować jedność jaka panuje w poglądach na tę sprawę między rektorem a młodzieżą. Rektor Opoczyński mówił mocno, dobitnie — sygestywnie, a jednak... ze łzami w oczach. Czy przeczuwał finis Wolnej Rzeczypospolitej Akademickiej?

Na peronie panowała idealna cisza, pod różni wyszli z wagonów, słów przedstawiciela nauki słuchali kolejarze — wszyscy z odkrytymi głowami, jakgdyby wyczuwając ważność chwili i mówcy.

«Jadę na konferencję rektorów, by bronić niezawisłości Rzeczypospolitej Akademickiej. Postąpię tak, jak mi honor i dobro nauki polskiej nakazuje. W tych ciężkich chwilach wielką podporą jest stanowisko młodzieży, która z profesorami tworzy jedną całość... proszę was tylko abyście się rozeszli spokojnie do domu. Jutro czekają mnie ważne konferencje, niech jadę z przeświadczeniem, że nic was złego w czasie mojej nieobecności nie spotka»...

Pociąg ruszył, w stuk kół wpadały słowa starej pieśni nie zaczętej jednak od początku — bo skądże «Gaudeamus»? Młodzież wróciła spokojnie do domów z nadzieją, że wolność nauki będzie uratowana.

Stało się inaczej. Nie pomogły protesty Akademii Umiejętności, zlekceważone zostały sprzeciwy wszystkich Senatów uniwersyteckich. Autonomia była niewygodna. Potem ze względów «oszczędnościowych» zaczęto związać Katedry — rozpoczęła się defensywa kulturalna.

W listopadzie 1933 roku żegnaliśmy profesorów wytraconych z warsztatów nie raz długoletniej pracy. Względem «oszczędnościowe» odsunęły od murów Batorowej Wszechnicy b. rektora Marjana Zdziechowskiego prof. prof.: s. p. Stanisława Władyczkę, Stefana Glazera, Jana Wilczyńskiego, Zenona Orłowskiego, i Stefana Glixellego. Młodzież żywo odczuła krzywdę wyrządzoną nie tylko jednostkom, których dotyczyła ale również i powadze nauki polskiej.

Na uroczystym zebraniu w Sali Śniadeckich, w obecności tysiąca młodzieży żegnał ustępujących profesorów kolega Jerzy Przyłuski, oraz przedstawiciele kół naukowych.



Rys. F. Ruszczyca

Potem odbyła się w Ognisku Akademickim herbatka, dla której najwłaściwszą nazwą byłaby raczej «stypa». Przemawiali: rektor Zdziechowski, prof. Glazer, prof. Glixelli, przedstawiciele organizacji akademickich i starszego społeczeństwa. Profesorowie w gorących słowach ocenili stosunek młodzieży i dziękowali za serdeczne pożegnanie. Kilku z pośród zwolnionych profesorów nie mogło przybyć. Zbyt ciężkie dla nich musiało być pożegnanie z codziennym przedmiotem ich starań, pracy, szlachetnych ambicji — z młodzieżą. Listy, które zostały odczytane, przysłali profesorowie: Władyczko, Orłowski i Wilczyński. Treść dwu pierwszych przytaczam — niech mówią same, a zdaje się, — dużo mówią.

«Serdecznie wdzięczny jestem za szczerze wyrazy uznania. Gorąco dziękuję za zaproszenie, jestem bardzo wzruszony, lecz niestety nie mam w chwili obecnej odpowiedniego nastawienia psychologicznego dla osobistego udziału w tem pożegnaniu zebrańiu dzisiejszem. Życzę gorąco, by Uniwersytet Wileński w pracy naukowej i pedagogicznej jeszcze bardziej i jeszcze jaśniej promieniował, a jego Młodzież stale i niezłomnie szła w ślady kolegów promienistych z przedwieku — Filaretów i Filomatów».

Stanisław Władyczko

Wilno, 3.XI 1933 r.

«Proszę mi darować, że nie mogę skorzystać z Waszego miłego zaproszenia i uczestniczyć w dzisiejszym uroczystym pożegnaniu p. p. profesorów, opuszczających Uniwersytet, do których to profesorów, między innymi należą i ja. Zbyt przykro byłoby mi odczuwać przez cały wieczór, że po raz ostatni obcuje z młodzieżą akademicką, że jestem na uroczystym pogrzebie tego, co dotąd stanowiło całą treść mego życia — na pogrzebie mej działalności pedagogicznej, po nagłej i niespodziewanej, wcale nie naturalnej śmierci. W tem uroczystym pożegnaniu widzę chęć młodzieży złożzyć uznanie mej 11-letniej pracy pedagogicznej w Uniwersytecie Wileńskim, na którą to pracę nie szczędziłem ani swoich sił, ani swego zdrowia, skracając nieraz dla niej nawet swój letni odpoczynek.

Z całego Uniwersytetu tylko młodzież, czuła jak zawsze, na wszystko co jest szlachetne i wzniosłe, nie zarażona w przytłaczającej swej większości różnymi kompromisami, zechciała uczcić tę pracę. A nie masz dla pedagoga większej nagrody, jak uznanie dla jego wysiłków i pracy ze strony jego uczniów. To też niezmiernie cenię tę Waszą chęć i za zaproszenie zasyłam Wam najserdeczniejsze podziękowania.

Opuszczając zrzędzeniem losu z przyczyn odemnie niezależnych tak drogie dla mnie sędziwe mury Uniwersytetu Stefana Batorowego, z którymi związane są wspomnienia dzieciństwa mego, gdyż w nich przed 40 z górą laty otrzymałem maturę, zamykając najważniejszy rozdział księgi życia mego — działalność pedagogiczną, żegnając Was zasyłam Polskiej Młodzieży Akademickiej na ręce Zarządu Bratniej Pomocy

gorące i najserdeczniejsze życzenia, by życie Jej akademickie płynęło wartkim prądem spokojnie, bez wstrząsów, by tak Ja, jak i Uniwersytet, omijały wszelkie burze i kamienie podwodne, w które niestety, tak bogata jest nasza współczesna rzeczywistość, by wierna swym szczytnym — nie przyziemnym — ideałom Bóg, Ojczyzna, Cnota,

Tadeusz Szeligowski

## Rozmowa o muzyce z Ferdynandem Ruszczycem

Gdy poznałem Ruszczyca (chyba gdzieś w jakimś 1924 r.), to zamiast wymyślania na «przyszłość» usłyszałem z ust tego pierwszego artysty Wilna kilka słów... o potrzebach muzycznych miasta. Ruszczyca orjentował się w tej materii bardzo dobrze. Mówił o środkach zaradczych, rzucał pomysły, doradzał. A nadewszystko czarował. Nie należy o tym zapominać, że Ruszczyca był czarującym człowiekiem. Cechował go delikatny wykint, nawet arystokratyzm specyficznie polski, którym odznaczali się niejedni wybitni artyści polscy (Chopin, Szymanowski). Jeśli rozmowy z Ruszczycem nie doprowadzały do jakichś konkretnych wyników, pozostawiały zawsze niepośledni urok. Poza wszystkim, co interlokutor mógł wynieść z rozmowy, miał przede wszystkim wielką przyjemność osobistą mogąc obcować z Ruszczycem. Od Ruszczyca wychodziło się zawsze optymistą. Ten człowiek zarażał nim wbrew wszelkiej logice. Tym światopoglądem zmienił nieomal otaczającą rzeczywistość. Miałem przed kilku laty długą rozmowę z Ruszczycem na temat muzyki na uniwersytecie. Artysta w bardzo ożywiony sposób mówił o tym temacie, jak leżało mu na sercu wciśnięcie muzyki w ramy uniwersyteckie. Jakie miał trudności przy realizacji tej koncepcji, jak żywy stosunek łączył go z muzyką od lat najmłodszych i t. d. Rozmowa przechodziła z tematu na temat. Przeciągnęła się chyba do półtorej godziny, jeżeli nie więcej. Siedzieliśmy w mieszkaniu Ruszczyca przy ul. Zamkowej, nieopodal pokoju, gdzie piorun zabił doktora Becu. Jesienne słońce zaglądało przez okno, oświetlając dziwnie jasno masy książek i papierów, które leżą w nieładzie w pokoju. Odnawiano właśnie mieszkanie. I w tym hałasie i stuku młotków i kielni murarskich

nie zrażając się przeszkodami, spotykaniami na swej drodze, dążyła stale i wytrwale ad astra coraz wyżej i wyżej. Uniwersytet Stefana Batorowego w Wilnie, Polska Młodzież Akademicka niech żyją, kwitną, promienieją»

Prof. Z. Orłowski

Niech i to jeszcze będzie w tych wspomnieniach: gdy w sprawozdaniu Zarządu Bratniej Pomocy za rok 1933/34 napisałem, że pożegnanie odbywało się «w obecności Jego Magnificencji Rektora i Senatu U. S. B.»... pan Rektor Staniewicz wytknął tę niecisłość i stwierdził, że «zupełnie niezgodnie z faktycznym stanem rzeczy podano jakoby Senat Uniwersytetu Stefana Batorowego uczestniczył w pożegnaniu opuszczających go profesorów, podczas gdy w rzeczywistości udział w tem pożegnaniu wzięli tylko poszczególne profesoria i to w charakterze prywatnym, a nie urzędowym».

Tak, w imię prawdy muszę to sprostować. Senat U. S. B. usuniętych, zasłużonych profesorów nie żegnał.

Stanisław Janicki

miałem ostatnią rozmowę z Ruszczycem. Nie doszliśmy oczywiście do żadnych «konkretnych rezultatów». Formułowaliśmy raczej nasze poglądy, myśli ideje. Bo z Ruszczycem rozmawiało się wyjątkowo swobodnie. Nie krepował niczym i w niczym. Pamiętam też jeszcze jeden wieczór cudownie spędzony we dwójkę w jakimś w kawiarence paryskiej na bulwarze św. Michała. Było to w 1929 r. Mówiliśmy na temat poczucia humoru Francuzów i Polaków. Ruszczyca z ożywieniem opowiadał mi o przygodach, jakie miał w czasie budowy pawilonu polskiego na wystawie paryskiej w 1925 r.; jak to znając sposób myślenia francuskiego robotnika potrafił w krótkim czasie pozyskać go i usposobić przychylnie dla budowy, w gruncie rzeczy obojętnej dlań, pawilonu polskiego a tym samym przyspieszyć budowę. Potem mówił znów o polskich stosunkach. Oczywiście skończyliśmy na Wilnie.

Gdy po dłuższej niebytności wróciłem w 1932 do Wilna, zastałem Ruszczyca realizującego swoją koncepcję zjednoczenia wszystkich artystów wileńskich. To Ruszczyca dał impuls do powstania Rady Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych. Cieszył się, że artyści wileńscy tak stosunkowo łatwo znaleźli platformę porozumienia i współpracy i że zgodzili się wtłoczyć swoje organizacje w jakąś syntetyczną komórkę. Ruszczyca miał być pierwszym prezesem Rady. Niestety na posiedzenie organizacyjne w końcu października owej fatalnej jesieni 1932 już nie przyszedł. Uległ paraliżowi, z którego się nie podniósł. Swoje życie zamknął ideą zjednoczenia i współpracy wszystkich sztuk ku chwale ukochanego Wilna.

Tadeusz Szeligowski



Rys. F. Ruszczyca

Zbigniew Kopalko

# „W kłębowisku mitów“

Nie ma prawd trwałych i niezbitych. Stały proces ustawicznego przewartościowania sądów i wartości jest *conditio sine qua non*, postępu. Każdy dogmat (z wyłączeniem, oczywiście, sfery religijnej!) jest niepotrzebnym i nieżośnym chwytym upowszechnienia otaczającej nas rzeczywistości.

Wszelka kultura nie ma nic wspólnego z ustalonymi «na głucho» dogmatami. Na ciągłym rozwoju, na «permanentnym» rozszerzaniu horyzontów zasadza się cała istota kultury.

W dzisiejszej epoce «standartowej» b. często spotkać się można z wysoce naiwnym, prostackim poglądem na charakter i właściwe oblicze np. *Średniowiecza*.

Średniowiecze—piszą domorośli geniusze—to mrok, barbarzyństwo i prymityw—urągający wszelkiemu wyrafinowaniu.

Obok tego potępiania średniowiecza istnieje przesadny kult — wyolbrzymianie epoki Renesansu. Przy wszelkiej próbie zbadania tych epok natknąć się można na całe sterty nieporozumień, sprzeczności ogólnikowych osądów, mętnych poetyckich wizyj, słowem «szacownych», zresztą, ekwilibrystyk wiecznie niespokojnego umysłu ludzkiego, wikłającego się w dyskursywnym sposobie myślenia. Co gorsza, żaden badacz nie może być wolny od «liryzowania» analizowanego przedmiotu. Wszyscy mówimy różnym językiem i patrzymy różnymi oczami.

Babramy się w gąszczu mitów i legend, burzonych co dnia.

Dziś, zaczynamy sobie zdawać sprawę z nieprawdziwości rozdzielania obu epok: Średniowiecza i Renesansu.

Nie można bowiem traktować Odrodzenia jako autonomicznej epoki, powstałej w dziejach nagle i niezależnie od niczego. Pogląd t. zw. katastrofizmu w dziedzinie czysto duchowej, wyraźnie już zbankrutował. Coraz intensywniej się forsuje dziś pogląd, o konieczności ewolucyjnego rozumienia dziejów i wagi wszystko scalającej perspektywy.

Problem Średniowiecza i Renesansu stał się aktualny już nawet w 16-ym wieku. Pierwszym «znachorem», który umieścił «renesans» w wyraźnych granicach czasowych był Włoch Giorgio Vasari (malarz, architekt i historyk sztuki żyjący w w. 16-ym) Vasari — pierwszy—da mętny i tak rozpowszechniany pogląd o renesansie jako nawrotu do starożytności i kultu natury.

Szczytem sztuki jest antyk grecko-rzymski—dowodził Vasari,—ponieważ przewodniczką była tu natura. «Ludzie renesansu, wzorując się na starożytnych—odrzucają mroki bezdusznego średniowiecza, negującego naturę». Poglądy Vasari'ego podjął i ugruntował na długo ahistoryczny wiek 18-y. (W szczególności Voltaire i Rousseau traktowali epokę Odrodzenia jako coś wyraźnie sprzecznego ze Średniowieczem).

W miarę upływu czasu i «solidniejszej» perspektywy wyostrzała się subtelność badaczy. Zaczęto wgłębiać się w zasadnicze cechy obu epok i wykrywać pewne zbieżności i paralele. Problem genezy zamajaczył się już słabiutko. Michelet (1855 r. VII rozdz. Introduction) zwrócił uwagę na znaczenie idei mistycznych Joachima z Fiordla dla genezy Renesansu. Dalsze stwierdzenia Francuza o odkryciu przez człowieka Renesansu nowych sił w nim drzemiących i rewizji swego stosunku do świata—to nowe tony w ubogim jeszcze i nieskomplikowanym rozumieniu Odrodzenia—jako pojęcia kulturalnego.

Dziełem olbrzymim, kuszącym się o całokowity i wyczerpujący obraz Renesansu będzie Burckhardtowska «Kultura Odrodzenia». Teorie niemieckiego uczonego staną się przełomowe w historii kultury. Niestety

na Burckhardtzie zaciężyła wyraźnie przynależność do epoki. Jego dzieło jest wyrazem prądów pozytywistycznych, usiłujących w minionej, dalekiej nawet, przeszłości wyznaczyć konkretny przykład na potwierdzenie swych prawd.

Burckhardt, jako typowy pozytywista, wystąpił przeciwko, tak typowej w epoce romantyzmu, idealizacji Średniowiecza i wysunął pogląd, że Renesans jest epoką buntu wobec barbarzyństwa i ciemnoty Średniowiecza. Książka «Kultura Odrodzenia», mimo swe chybione syntezy, jest kopalnią erudycji i przykładem rzetelnej uczciwości badacza.

Ciekawa jest tu, między innymi, klasyfikacja artystów. Burckhardt rozróżnia trzy typy:

1. Ludzie historycznie wielcy, więc niezastąpieni, jedyni, wyposażeni anomalną siłą intelektualną lub etyczną, którzy wywarli wpływ na całe narody, kultury lub ludzkość. Są to twórcy wolni.

2. Doskonali mistrze drugorzędni, którzy utrzymują twórczość pierwszych—jako styl.



Fot. J. Bułhak Ferdynand Ruszczyk w grobach królewskich Katedry w r. 1931 w Wilnie

3. Mistrze uzewnętrznienia.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż Burckhardt stworzył pewną legendę, która «popchnie» świat europejskiej nauki w «wrzące wody» namiętnej dyskusji. Zebrał się wielki Areopag najtęższych głów i rozpoczął się sąd na Średniowieczem i Odrodzeniem. Na światło dzienne wypłynął problem genezy Renesansu. Wysunięto nowa rewolucyjną tezę:

«Renesans źródłami swoimi sięga wczesnego średniowiecza! Nie można bagatelizować takich postaci, jak św. Franciszek, Joachim z Fiore, Arnold Brescji i inni. I oto «pogańskie oblicze» Renesansu, jako wynik nawrotu do kultury antycznej, zaczyna nabierać zupełnie innego wyglądu. Poganin, dysząc «radością życia» zmienia się w natchnionego pielgrzyma - mistyka — zapatrzono go ekstatycznie w siebie i poszukującego Boga we własnej duszy.

Widać więc jasno, jak łatwo przerzucić się od jednej krańcowości do drugiej Według Burdacha—pojęcie Odrodzenia

jest pojęciem mistycznym. Chodzi tu o wyzolenie się z jakiegoś stanu przygnębienia i przytłumienia życia i «aktualizację odrodzonego ducha w zakresie działania etycznego». Trzeba zlikwidować czołową tezę Burckhardta o Renesansie, jako o opoście nawrotu do starożytności. *Renesans jest przede wszystkim odrodzeniem człowieka*. Zainteresowanie się sztuką klasyczną, dotyczy przede wszystkim sztuki rzymskiej, znajomość grecczyzny, jak była, tak i pozostała powierzchowna. Odkrycie «natury» przez Renesans jest fikcją. Zwrócono uwagę na naturę już w w. 12—(poezja prowansalska) i szczególnie w w. 14-ym. Petrarca w swoich listach o tytule «Cisza Nocy» odda artystyczny hołd pięknu przyrody. Petrarrowskie spojrzenie wyprzedzi więc w. 16-ty.

Twierdzenia Burdacha poprą uczeni tej miary, co Emil Gebhart, Thode, Paul Sabatier, Neuman, Nordström, Brentano i inni. Oczywiście, że w poparciu stanowiska Burdacha będzie tu chodziło o jedną rzecz zasadniczą: *„Nie można rozgarniać epok Średniowiecza i Renesansu, bo Renesans jest ukoronowaniem średniowiecza, (Nordström).*

macji jest czynnikiem b. ważnym do zrozumienia duchowych zjawisk 16 wieku. Dilthey — w długich wywodach podkreśla silne związki Reformacji z wczesnym Średniowieczem: z ruchami religijnymi Waldensów i Albigenów, z mistyką Joachima—oraz z nauką i działalnością św. Franciszka. Reformacja, wbrew zakorzenionym silnie *poglądom-mitom*, wcale nie ma charakteru czysto racjonalistycznego, bo nawet Erazm z Rotterdamu mimo swej, zdawałoby się, typowo racjonalistycznej umysłowości, zdradza wiele objawów i zainteresowań się mistyką. «Dusza ludzka, pamiętna swego boskiego pochodzenia, zмага się z ziemską powłoką»—przecież pogląd ten — to najczystsza mistyka!

Erazm jest poszukiwaczem filozofii Chrystusa, w której widzi zasadniczą zgodę z naukami Platona, Cycerona, Seneki.

W ustawicznym kontredansie poglądów wyodrębni się stanowisko współczesnego nam badacza Neumana, według którego Renesans stanowiąc rozkwit i dojrzałość kultury średniowiecznej jest jednocześnie kontynuacją antyku, podczas gdy reformacja jest wynikiem religijnych tendencji średniowiecza. Neuman, mimo swe ciekawe na ogół koncepcje, nie wolny jest od wewnętrznych sprzeczności; raz będzie dowodzić, że Odrodzenie jest kontynuacją antyku, drugi raz, że czynniki antyczne hamowały rozwój ogólnej kultury Renesansu!

Zagadnienie stosunku średniowiecza do Renesansu—długo jeszcze trapić będzie badaczy.

Przed wszystkim nie wiemy dokładnie, «co to jest Średniowiecze» — gdzie szukać jego granic czasowych, ponadto w grę wchodzi wątpliwość, czy istnieją t. zw. stałe cechy epoki, jej specyficzność i odrębność.

Burckhardt, tłumaczący Renesans, jako bunt przeciwko normatywnemu myśleniu średniowiecznego scholacystycyzmu—wyraźnie znajduje się na błędnej drodze.

Humanizm naukowy w epoce Odrodzenia opiera się ciągle jeszcze na gruncie autorytetu, Pisma Świętego i praw Arystotelesa. Żadna zresztą z nauk nie zerwała wówczas ze średniowiecznym pojmowaniem celów nauki. (Religijne i moralne cele!) W teologii i filozofii nie stworzył Renesans nic monumentalnego—jak panował, tak i panuje w humanizmie tomizm i scotyzm ze swoją metodą dialektyczną.

Ludziom Odrodzenia w dalszym ciągu obcy był *krytycyzm oparty na eksperymencie i na racjonalnej analizie źródeł*. (Wyjątek może tu stanowić nasz Kopernik!) Jakież więc w gruncie rzeczy są różnice między obu epokami?—(Kiedy nawet ten osławiony truizm o pogańskiej radości życia człowieka Renesansu znajduje swój odpowiednik jeszcze w 12 w. i 13-ym w bractwach waganów i goliardów!)

Cóż więc pozostaje nam czynić — nam, którzy chcąc poznać «tajnię» prawdy?

Musimy stwierdzić jedno: Nasz dyskursywny sposób myślenia stworzył i dalej stwarza tepe formułki i etykiety, legendy i mity w gąszczu, których przedzierać się trzeba jak w dżungli!

Dziś wiemy już, że Średniowiecze ma ogromną zasługę; oto dzięki mistycyzmowi religijnemu, —dzięki zagłębianiu się człowieka w tajniki własnej duszy, wykazało, że obok świata zewnętrznego istnieje drugi świat — świat wewnętrzny. Odrodzenie będzie miało wyrabianą ścieżkę do dalszych odkryć.

Nieszkodziłoby gdyby bezmyślnych ignorantów, negujących olbrzymi dorobek Średniowiecza, poddawano chłości, próbie ognia lub obcinaniu «odstających» uszu.

Zbigniew Kopalko

# CHOPIN I PULARDA

Na Pohulanę ściągnięto teatr z Nohant, czas cofnięto o wiek wstecz i z tych faustowskich czarów mieliśmy otrzymać komedję. Napisano już o tem kilka recenzji, przegadano cały wieczór na środzie, (ze środy na piątek...) pozostało więc tylko postawić kropkę na i. Najpierw jednak przypomnę czytelnikom kilka rzeczy. A więc sztuka. Ma duże braki z punktu widzenia konstrukcji dramatycznej, wszechwładnie panuje rozgadanie. Na scenie ściera się dwa światy i dwa... półświatki. Pierwszy, to: muzyka, literatura, miłość, wielkość. Drugi — to histerja, nerwy, kamizelki, pularda, no i ta rzeczywiście ciężka atmosfera. Dlaczego nikt na środzie nie zauważył, że ta atmosfera, to konsekwentny rezultat czasów povoltair'owskich, porousseau'owskich, że w tem leży ówczesna Francja, George Sand, nie zrewolucjonizowała jej, tylko przerabiała w dalszym ciągu podług starej recepty encyklopedystów.

Może to jest... totalistyczne zagadnienie, ale prawdziwe. Chopin jest z innego świata, nie tylko dlatego, że wielki, ale i dlatego, że tam u niego, w Polsce była jednak atmosfera inna.

I dlatego Chopin ze swoją pulardą i kamizelkami, jest życiowo nierealny. To są tylko drobne szczegóły, które, jakby same narzucają się w oczy. Tam gdzie trzeba rozwiązać gordyjski węzeł splotów dnia, wysłuchać poważnie potoku skarg p. Sand, zauważyć miłość z Solange — tam Chopin nie widzi — jest inny — cudzoziemiec, Polak. To mu ułatwia twórczość. Oderwanie się od spraw dnia, pozwoliło w rezultacie znaleźć rozwiązanie. Skończone dzieło wyrasta wtedy, gdy narzmięwa konflikt, na scenie robi się piekielko, wszyscy są pokłóceni, a sam artysta ucieka. Właśnie wtedy powstaje large, bo, mimo autorstwa tych powikłań, Chopin jest w nich... nieobecny.

Na scenie niema konfliktu wielkości i małości. Ta ostatnia jest codziennym akom-

plamentem największego artysty. Wszystko jest prócz Chopina i jego muzyki — małe, wszystko zaczyna się od George Sand. To też instynkt kobiecy, p. Dobaczewskiej od razu wyczuł krzywdę, jaką Iwaszkiewicz wyrządził innej kobiecie.

A wielkość — jak ona wygląda? Zjawia się nie na koturnach, lecz w szlafroku. Po prostu taka, jak wszystko inne (znowu pularda!) jest ododmienna temi błyskami genialności, które p. Hieronimi odtworzył gorzej mimiką twarzy, a lepiej palcami. Wielkości nie trzeba szukać na Parnasie, ludzie nieśmiertelni chodzą wśród nas, my tylko tego nie widzimy, jak niewidziało prawie całe towarzystwo z Nohant.

Z ciekawej dyskusji na środzie warto podkreślić przemówienie p. Szeligowskiego, wykazujące wielkie podobieństwo atmosfery w Nohant i w... Tymoszwówce Szymanowskiego, którego Iwaszkiewicz jest bliskim kuzynem i środowisko tymoszwowskie zna.

Długo i uczenie mówił p. dr. Orda, ale czy to dlatego, że zadługo, czy dlatego, że zauczenie, mało co z tego obecni zrozumieli, darząc zresztą po skończeniu exposé miłego mówcę rzesistemi oklaskami. Ksiądz Śledziwski poruszył ważny problem stałości fizycznej Chopina i poparł to przykładem z własnej... bibliografji; pozatem — oparłszy się nogą o ławę — mówił również dużo... o architekturze i stylach w sztuce, żałując bardzo, że każdy z aktorów nie wczuł się w styl swej postaci i nie śmiał się rokokowo (hi, hi, hi) lub barokowo (?) zależnie od potrzeby.

Dużo rozjaśniło przemówienie p. dyr. Szpakiewicza. Mówiąc o wileńskiej inscenizacji «Lata» stworzył nowy typ sztuki teatralnej — «historyczną bibliografję sceniczną...» Ze to nie był lapsus linguae, a rzeczywiście nowe odkrycie, świadczyło kilkakrotne powtórzenie rzeczony «bibliografji».

Na środzie triumfowali muzycy którzy nieopatrznie zaatakowali literatów, zarzu-

# Liść wawrzynu i płatek róży

Wilno — 1937 r.

Nakładem Stanisława Turskiego. Wydanie pośmiertne. Redakcja i ilustracja Jana Bułhaka.

Na książkę złożył się cały cykl przemówień, wykładów, odczytów, pogadanek radiowych i t. p.

Całość nie ma celu literackiego. Zresztą Ferdynand Ruszczyk był malarzem a malarz nigdy prawie nie bywa literatem, bo są to całkowicie różne dziedziny życia. Ze wszystkich enuncjacji Ruszczyca płynie głęboka miłość piękna zawartego w sztuce i właśnie na tym polega cały czar książki.

W każdym jego słowie „widnieje artysta tworzący i szerzący piękno, zapalony miłośnik rodzimej kultury i tradycji, nauczyciel, niosący wszędzie wiedzę o Polsce“, apostoł prawdy Norwidowych o potrzebie zespalania codziennego życia ze wszystko ogarniającym Pięknem — czarem bytu człowieka.

„Piękno powinno być Niedziela naszej duszy — mówi Ferdynand Ruszczyk.

Książka Ruszczyca stanowi cenny dokument „Starego Wilna“ — odchodzącego już w przeszłość!

Dziś, kiedy zaznacza się krok maszerujących kolumn budowniczych nowego, polskiego jutra Wilna — wszystkie artykuły Zmarłego nabierają szczególnego uroku i rzeczy można, aktualności.

cając im ignorancję w dziedzinie muzyki, podciąganie pod adagia, passaze — jakieś drzewa, łańcuchy, wojny.

Literaci odcięli się krótko, ale mocno. «A poco nazywacie swe utwory «Popołudniem Fauna», lub «Tańcem szkieletów».

W. T.

Bo tęsknota za pięknem i gorące pragnienie jego realizacji w życiu człowieka — mięczaka — muszą być wieczne i nieskończone. Człowiek, całą swoją strukturą psychiczną, przypomina naczynie porowate, wiecznie chłonne, zanurzone w nieskończoności. Dzięki tym rozległym perspektywom wiecznego przyswajania wartości sztuki uwzniaśla się szara natura ludzka. Bez nich byłby nędzarzem...

Ruszczyk ukochał Wilno. „Wilno — to cenne skrzypce, to Stradiwarius“, którym nam znowu wolno władać i którego do siebie tulimy. Na tych skrzypcach ujęczony Genjusz odegrał najszczytniejszą Sonatę polską — improwizację Konrada. I jeżeli zespół orkiestrowy Polski ma być pełny, tych skrzypiec w nim nie może zabraknąć.

Forma zewnętrzna książki Ferdynanda Ruszczyca wybitnie estetyczna. Tłoczono w drukarni artystycznej „Grafika“ pod osobistym kierownictwem Stanisława Turskiego. Piękną okładkę, podkreślającą tytuł książki, skomponował E. Kuczyński. Z. K.

JEŚLIŚ ZNAWCĄ, NIE LAKIEM...

**PIJ HERBATĘ  
„Z KOPERNIKIEM“**



WARSZ. TOW. HANDLU HERBATĄ  
**A. Długokęcki, W. Wrześniewski**  
Spółka Akcyjna  
SKLEP W WILNIE, UL. MICKIEWICZA 21



Okrycia damskie . . . zł. 85—zł. 63—  
Spódnice wełniane . . . . . 14—  
Kapelusze filcowe . . . . . 4,90  
Palta męskie „Loden“ . . . . . 34,—  
Palta „Demi“ zł. 70—zł. 62,—  
Garnitury sportowe „ 65— 54,—  
Garnitury spacer. „ 73— 64,—  
Wełny sukniowe 120 cm. . . . . 5,40  
Wełny okryciowe 140 cm. . . . . 10,—

Polecają w dużym wyborze modnych kolorów.

**Bracia JABŁKOWSCY**  
magazyn zadowolonych klientów

SKLEP  
gotowych ubrań damskich  
**E. Dutkiewicz**  
Wilno, ul. Mickiewicza 7.

„ARS“  
Pracownia Fotograficzna  
Wilno, ul. Tatarska Nr. 1  
róg Mickiewicza.

Popierajcie wileńską prasę narodową!  
Czytajcie i prenumerujcie „Sprawy Otwarte“,  
pismo młodych narodowców — dla szerokiej  
Inteligencji.  
Żądajcie „Spraw Otwartych“ w kioskach i urzędach pocztowych.  
Prenumeratę prosimy wpłacać na nasze konto rozrachunkowe Nr. 8, Wilno 1.

Marne święta bez Krupnika!  
**KRUPNIK** BEZ GOTOWANIA I FILTROWANIA  
sporządzisz przy pomocy zaprawy ziołowo - korzennej. Flakon 1 zł. wystarcza na 1 — 3 litry wódki.  
**POLECA SKŁAD APTECZNY Władysława Trubiły**  
LUDWISARSKA 12 (róg Tatarskiej)  
Tamże wody kolońskie na wagę. 78 przecednych zapachów.

Restauracja  
**„USTRONIE“**  
Wilno, Ad. Mickiewicza 24.  
Zdrowe Smaczne  
Hygieniczne  
OBIADY — KOLACJE  
Ceny niskie.  
Ul. Ad. Mickiewicza Nr. 24.

Największa na Wileńszczyźnie  
Pierwsza Chrześcijańska  
Hurtownia Galanteryjna  
**Franciszek Frliczka**  
Wilno, Zamkowa Nr. 9,  
tel. 6 46.

Salon Mód  
**Wanda STAWSKA**  
Wilno, ul. Wileńska Nr. 32.  
Poleca: suknie, kostiumy, płaszcze i kapelusze.  
Wykonuje obstalunki.  
Akademikom rabat.

ZAKŁAD KRAWIECKI  
**Zygmunt Sakowicz**  
były majster firm petersburskich  
przyjmuje obstalunki w zakresie krawiectwa wchodzące  
Ceny bardzo niskie  
Wilno, Jagiellońska 6 m. 19.

Największy wybór Radioaparatów i Radiosprzętu  
w firmie **MICHAŁ GIRDA**  
Zamkowa 20, tel. 16-28.  
Ładowanie i reperacja akumulatorów, słuchawek i radioodbiorników.

**Z. WOŁĘJKO**  
POLSKA PRACOWNIA  
Czapek i Kapeluszy  
Wilno, ul. Wileńska 10.

**J. Krusiewicz**  
Wilno, Wileńska 23.  
Siodła, uprząże, przybory myśliwskie oraz galanterja skórzana.  
Ceny niskie.

Zegarki, biżuteria, srebro, platery  
magazyn i pracownia  
**K. Gorzuchowski**  
Wilno, Zamkowa 9.

Optyk  
**J. Iwaszkiewicz**  
Wilno, ul. Wileńska 25  
tel. 16-84.

Polski Sklep  
**Maria Kosinowa**  
Wilno, A. Mickiewicza 11-a.  
Poleca galanteryę męską i damską, trykotaże i t. p.  
Po cenach najniższych.

Ceny ogłoszeń: Za 45 milimetrów 1-no szpaltowych na ostatniej stronie 7 zł. W tekście o 50% drożej. Prenumerata roczna 4 zł., półroczna 2 zł., kwartalna 1 zł.

Adres Redakcji i Administracji: Wilno, ul. Jagiellońska 6 m. 19.

Redakcja i Administracja czynne we wtorki i piątki od godz. 18 do 20.